



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. i
sgr. 20.

CHWILA UBIEGŁA.

Chwila obecna—to praca nasza wykonywana, obowiązek pełniony, to dobrej lub złej woli naszej z czynem zestosunkowanie, tak, jak chwila, która ma nadejść, jest owej pracy, obowiązku, duchowego naszego rozwoju nadzieją i otwierającym się polem—przyszłością; gdy chwila ubiegła znaczy zatrzaśnięte już za nami podwoje czasu, coś niepowrotnie zaginionego, jak kamień w wodę rzucony. A przecież owa chwila ubiegła ma swoją wartość wielką, niezmierną, nie tylko z tego względu, że cięży na przyszłości skutkami przyczyn swoich, że dla terażniejszości jest poprzedniczką i rodzicą, ale, że liczba z niej wzięta może mieć dla nas znaczenie często wyższe nawet, niż namysł nad bieżącym czasem momentem, bo tu owe criterium najwyższe: „po owocach ich poznacie je” już nam się w ręce daje i ta namiętność, ta słabość ludzka, ta osobistość naszej tajna domieszka: nasza miłość własna, nigdy od żadnej czynności człowieka nieodłączona, która go często zaslepią i jasność wzroku jego zaciemnia jak opaska oczy wiążąca, teraz obniża się, opada zwolna i perspektywa, którą oddalenie dla własnych naszych czynów tworzy, ukazuje je nam w innym, dla sprawiedliwego sądu lepiej umiersonem świetle.

Więc też chwila ubiegła powinna być użytą, jako nauka, którą wczoraj dla zadań dnia dzisiejszego i zamiarów jutra przynosi, i ktoby tak z niej zawsze korzystać chciał i umiał, ktoby z doświadczenia, jakie dać może, materyał mądrości tak sobie wytwarzał, osiągnąłby ją niezawodnie, tę mądrość, do i postępowego kształcenia się, do rozumnego udoskonalania się przez własnego sądu nad sobą wyroki, obrałby drogę bardzo pewną. Nie mogłam nigdyś zgoła zrozumieć znaczenia

popielcowego posypywania głów ludzkich popiołem po skończonym czasie zapustnych hulanki, i wołałam, że trzebaby to chyba w pierwszym jego dniu czynić, jeżeliby to był sposób broniący od płochy i jej szarów, od zapomnienia tego, co człowiek zawsze pamiętać powinien: że mu nie należy bogactw mozołnie zbieranych w uniesieniu nierozważnym jednej chwili trwonąć, że mu nie trzeba nigdy z rozumną myślą o przyszłości się rozstawiać, że mu się nie godzi wreszcie, jako istocie rozumnej, w stan bezmyślnego podniecenia wprawiać—upijać się wyskokiem takim, który dla rozkoszy chwilowego odurzenia każe poświęcać to, co rozsądek radzi na szali życia skrupulatnie przeważać. Nie mogłam sobie wytłómaczyć tego obrządku, który zdawał mi się tylko haracz pokuty od ludzi zbierać, gdy ja byłabym pragnęła, aby się stawał przestrożą, złe uprzedzającą, aż dopiero spostrzegłam nareszcie, że tam, gdzie przestroga bywa bezskuteczna, dobrze przynajmniej do obrachunku sumienia skłaniać i ludzi eksperymentalną metodą ulepszać, skoro natura człowieka nie zawsze chce się innej poddać. Jeżeli ma to być dla człowieka rzeczą najcenniejszą, co go najdrożej kosztuje, to nauka z błędów przeszłości wyniesiona, powinna w jego oczach taką wysoką cenę przybierać, jakkolwiek nie daj Boże podobnie się uczyć, czy to pojedynczym jednostkom, czy narodom!

Bywa przecież, że się już ktoś w konieczności takiej ciężkiej nauki postawi, że mając po za sobą winy i omyłki przeszłości, musi sobie powiedzieć: lepiej późno, niż nigdy!... Niechże więc wtedy po złem karnawałowaniu: po czasie niedobrze użytym, po marnotrawstwie wartości drogich, po bezmyślnym poddaniu się prądom, które go niosły w kierunku przeciwnym celowi, jaki sobie rozumnie i uczciwie powinien był obrać—schyli się pokornie i popiół na głowę przyjmując, obrachunek z sumieniem swoim czyni, winy rozważa i pokutniczą poprawę obiecuje.

Nam obecnie czynić-by to wypadło w znaczeniu dosłownem, bo ostatnią naszą chwilą ubiegłą był karnawał. Czy dobry: czy bez strat, czy bez win, o popiół pokutniczy wołających? to pytanie. Bawiło się miasto nasze dobrze, coraz lepiej, coraz z większą ochotą, im bliżej było do końca, nawet tak dobrze, że obcy człowiek, który się między nami znalazł, aż dziwił się temu i gotówby był wynieść o pomysłowości naszej, o stanie naszych interesów wszelakiego rodzaju, mniemanie najbardziej pocieszające, gdyby był z kądną nie wiedział, bo dziś już cała Europa wie o sobie wszystko, że mamy: w klassach pracujących bezrobocie, a klasy posiadające zagrożone są przesileniem ekonomicznem, które zapowiada się nie na rok jeden, nie na dwa.

Szereg bied, nędz ludzkich jest tak w obecnej chwili długim, że arkuszowym być-by musiał ich katalog, i dość na tem, co się już na początku dostało pod pióro. Tańcowano na coraz-to innych balach w tem mieście naszym, gdzie siostry miłosierdzia rozdawały bezpłatnie obiady rzeszom głodnym i w godności swej ludzi uczciwych poniżonym do jałmużny, przez najcięższą dla człowieka niedolę—brak pracy... Tańcowano, choć na wsiach naszych stoją nietknięte i wartości swej pozbawione brogi i sterty tego „Bożego daru”, który w gorącym znoju czoła był pracowitemi rękami zbierany, a teraz stał się czemś podobnym do tego złota w bajce czarownika, które nagle okazało się workiem kamieni. Z posepnych lic rolnika wygląda też niepokój bolesny, trwoga tego jutra, które wyczerpie resztę zapasów—niezaszanowanych!

Czy wiele gospodyń spośród tańczącego ogółu zatroskało się o to w obywatelskim uczuciu swoim, aby chociaż przy zapotrzebowaniu miejscowym obca konkurencja kłęski cięższą nie czyniła? Czy wiele choć pomyślało o tem, że one coś na to pomódz mogą?

Ilości wprowadzanego do nas obcego towaru,

dają odpowiedź bolesną, że niewiele, że bardzo mało, niezmiernie mało!...

Posypujemy głowy popiołem, posypujemy! Wprawdzie nie musi to być nowością, co poważnym ludziom serce dziś rani, bo mamy przecież przysłowie: „Kiedy bieda, to hoc!“... Mamy również wśród pieśni naszych, jeden okrutnej wesołości wyrwas Maćka: 1)

Jak nie mam być wesoły,
Kiej mi zdechły dwa woły....

Pokazało się w drugiej, trzeciej, dziesiątej strofie, że mu nietylko wołów zabrakło, że żona umarła, chatę ogień spalił, że wszystko, wszystko mu przepadło, zginęło, co jest bogactwem, skarbem, szczęściem ludzkim na ziemi, a on śpiewał:

Jak nie mam być wesoły,
Kiedym głodny i goły....

Nieraz się słyszy zdanie, że właśnie w latach ekonomicznego zastoju klasy zamożne nie powinny się ścisnąć, że nawet powinny wydawać, bo ich zbytek to zarobek ubogiego; ale należy zapytać: ile też ze zbytku karnawałowych zabaw na dział produkcji krajowej przypadnie, a ile na francuzkie i węgierskie wina, elbląskie świeże łososie, adamaszki, aksamity lyońskie i t. d. z kraju kapitału wypłynie? Przytem dawno to już zbity fałsz, jakoby zbytek którejkolwiek klasy w narodzie działał na kraj ożywczo. Z XVIII to jeszcze wieku pokutująca zasada, którą Voltaire zpopularyzował; dziś, przeciwnie, dowodzą, że uwieżenie kapitału w produkcji na potrzeby zbytku idącej, odwraca go od innych, więcej ożywczych gałęzi przemysłu, które lepiej rozprowadzają dobrobyt między zdrowe i podporę rzeczy ogólnej stanowiące warstwy narodu, i że wtedy-to dopiero praca kapitał wytwarzająca jest pomyslnością i postępem, jest przysparzaniem narodowemu organizmowi soków, które go ubogacają. Czytelnicy naszego pisma przypominają sobie może pogadankę o *zbytku* tego francuzkiego ekonomisty, który, tezy tej dowodząc, wykazywał obok tego, że jeżeli każdy zbytek ruinuje społeczeństwo, jeżeli jest jego moralną zarazą, ciężkiem jego ducha zakażeniem, to zbytkowanie narodów, które sobie zbytek od obcych kupować muszą, jest już chorobą, wszelkie, bo i materialne życie kraju podkopującą—jest jakgdyby ciężkim żywotnych sił upuszczaniem i, niestety! nas to obok Hiszpanii na przegierzu tego smutnego przykładu postawił.

A nie był to bynajmniej nasz nieprzyjaciel, lecz przeciwnie przyjaciel był i przychylny nam człowiek, z wielu rodakami naszymi w stosunkach życzliwej zażyłości zostający. Ale był on przede wszystkim ekonomistą i rządził się prawdą: prawdę mówił, a chciał może i powiedzieć naukę, i dać przestrożę.

Jest jeszcze jedna niby mądrości życia utarta formuła, prawda względna, która się o ruch wesoły upomina dla młodości. Młodość go potrzebuje—potrzebuje, aby i jej danem zostało to, co przecież starsze pokolenia w swoim czasie miały. Trzebaby tu niekórki wywód zrobić, jak na tem wyszły owe pokolenia starsze, i co sobie na dojrzałość swą zaskarbiły; ale niech rzecz pozostanie na stronie, ponieważ poza ramy nasze występuje. Dodają zwykle rzeczniczy zabaw młodości, że tam, gdzie dla godziwie obmyślanych rozrywek miejsca niema, wyrabia się dla nich kanał podziemny, że stan moralności ogólnej cierpi na tem, że kobieta w rodzinie pozostaje smutną i osamotnioną. Ale, nie przecząc temu, zapytać trzeba, czy jednak zawsze młodość musi i może się bawić, czy, na przykład, bawi się ktoś, gdy mu bardzo droga osoba na śmiertelnem łożu leży, gdy mu choćby tylko krokwie na dachu trzeszczą pod wichrem nawałnicy? Mamy dziś taki wichur losu na dachy domów naszych wiejący; mamy wkoło siebie biedę, mamy w perspektywie nędzę, przechodzimy chwilę natarczywych losu szturmów, i czy, potrzebując się sku-

piąć w sobie, możemy zostawić zabawie jej miejsce może normalne w innym społeczeństwie, i w warunkach innych okoliczności?

Jest przytem szkopuł wielkiego znaczenia, o który musi się rozbić wiele z innego względu rozumnych dowodzeń, upominających się dla młodości o chwile wesołego, swobodnego nieliczenia się z troskami, które wiek starszy podejmować i dźwigać musi. Co się stanie z duchem tej młodości, co się stanie z nastrojem jej myśli i uczuć, z całym jej stanem moralnym, jeżeli jej to danem będzie, jeżeli będzie się bawić nawet w chwilach wyjątkowo ciężkich, trudnych, bolesnych? Młodość ma niezawodnie swoje prawa, ma swoje prawa towarzyskość, wiek wszelki ogarniająca, łączy się ona nawet z bardzo wielu ważnymi względami dla rozwoju życia społeczności każdej i ludzkiej nie mogą, nie powinni zamykać się jedynie w rodzinach, zasklepić się duchem i szerszej wymiany myśli się pozbawiać. Trzeba też czasem ciężaru pracy sobie ulżyć, trzeba czasem życiwe oblicza przyjaciół i znajomych oglądać, blask wzroku swego z blaskiem źrenicy ich zetknąć, ducha sobie wzajem dodać i lżej przytem odetchnąć, gdy się dłoń z dłonią uściśnie. Trzeba; tylko należy stosować to do swoich warunków bytu, do swoich życia okoliczności, nie bawić się tak, jak się bawia w Paryżu, lub Wiedniu, lub w Londynie, ale towarzyskość swoją uczynić własnego gruntu kwiatem i owocem.

(Dokończenie nastąpi).

GENERAL GORDON

(Korrespondencja jego z siostrą).

Żywe zajęcie, z jakim cały intelligentny ogół Europy śledził losy obleganego Khartumu, nie miało w sobie nic łącznego z polityką. Sprawa egipska jest niewątpliwie ważną i dla Europy, ale nie o nią tu chodziło, gdy ludzie dobadywali się z gazet ciekawie, czy miasto, położone kędyś u zbiegu Nilu Białego z Nilem Błękitnym, padnie pod gniotącą je nawałą dzicych afrykańskiej, a załoga egipska zostanie wymordowaną, lub pod da się i połączy z gromadami czarnymi, które wiódł roznamiętniony fanatyk, Mohamed-Ahmed: Madhi, to jest poarabsku *wzniosły*. Interes większości skupiał się tu głównie, a nawet wyłącznie na jednej znajdującej się tam głowie: na Angliku Gordonie, który był niemniej jako ów prorok muzułmański, postacią fantastyczną i oryginalną, pociągającą do siebie przez urok, jaki wywiera zawsze na ludzi wielkoduszność i bezinteresowne poświęcenie dla idei. Takim był człowiek, który z głębi pustyń afrykańskich trzymał rok cały zwróconą na siebie uwagę i gorącą sympatją publiczności europejskiej, a kiedy los jego spełnił się na koniec, gdy z wieścią o upadku Khartumu przyszła wiadomość o jego śmierci, długo nie chciano w nią wierzyć, jak to bywa zawsze, gdy głośny człowiek, który długo zwyciężał losy, ginie w końcu. Ludziom trudno jest pogodzić się z myślą, aby to być mogło, aby bohater kończył jak człowiek pospolity, aby zwłaszcza przyszedł nań zgon śmierci okrutnej i nieszcześliwej. Gordona miał uderzyć w serce sztylet zdrajcy, gdy w chwili ataku Madhiego na Khartum wybiegł z pałacu swego, ale fakt jego śmierci był długo ukrywany i Madhi tendencyjnie rozsiewał fałszywe pogłoski, to, że Gordon jest w jego więzach, to, że przeszedł pod jego chorągiew i nosi mundur jego wojsk. Ze względu na Anglię było to dla niego rzeczą korzystną, aby sądzono, że Gordon został wziętym do niewoli; z drugiej strony mogło to mieć wielkie znaczenie w obec Egiptu i ludności sudańskiej, że bohater europejski ukorzył się przed nim i stanął pod jego sztandarem. Czy Madhi mógłby być to przynajmniej sprawić, aby Gordon został jego niewolnikiem? Czy nad rozumem i interesem *wzniosłego* przemogła chęć dzikiego i ostatecznego tryumfu nad człowiekiem, który tak długo przeciwsta-

wał się niemal sam jeden jego potędze, przeciw- ważył jego wpływ i urok jego świętości: czy pascmo życia wielkiego człowieka przecięła zdrada, czy bohater legł w walce nierównej—niewiadomo jest dotąd.

Trzeba się też prawie nieomylnie spodziewać, że Gordon, zwłaszcza dla tłumów afrykańskich, nie skończył jeszcze swego istnienia na ziemi, że w legendzie ożyje on niedługo pod palmami jakiej cudownej oazy, na jakiej zaczarowanej, w mgły owitej wyspie Nilowej, lub wystąpi jak król potężny z głębi pustyń, z nad jezior, do których nie dotarł dotąd żaden *niewierny*, a z kąd on wyjdzie przerodzony, nawrócony na wiarę jedynie prawdziwego Boga: Mahdi nowy, wyższy niż ten dzisiejszy, o którym tłum wie, iż jest chciwym na bogactwa i mściwym, zaślubiającym bez liku bogate córki handlarzy niewolników z nad Białego Nilu. Gorąca wyobraźnia Arabów i dzikich plemion Afryki wyda go z siebie innym: świętszym, czystszy, tryumfatorom zwyciężkim po pokucie za ten błąd, iż się poważył kiedyś podnosić miecz przeciw znakowi Mahometa i nie przyjął odrazu wezwania jego.

Tymczasem w Europie śmierć Gordona, tak jak poprzednio czyniły to jego losy, poruszyła ludzi niezwykle, bo i osobistość była niezwykła, jedyna już może w naszych czasach powstać z zakrojem średniowiecznie legendowym—rycerz w wielkim stylu dawnych wojowników, walczący pod znakiem świętym, gardzący złotem, nie wazący nic życia, idący w ogień tak śmiało i spokojnie, jakgdyby kule miały się odbijać od niego. Gorącość jego wiary przypominała zkądinąd żołnierzy Kromwela. Jest to surowy Purytanin, obyczajów zakonie czystych, prostoty życia niezmierniej; wczytanie się w Biblię daje mu nastrój myśli proroków Starego Testamentu, wiarę w posłannictwo. Duch jego musiał nieraz jakoby stać przed Bogiem, z którym rozmawiał, od którego przyjmował rozkazy, i dlatego Gordon był fatalistą: wierzył że jest narzędzem Pana do rozburzenia mahometanizmu, i szczególne, nadwyzajne szczęście służyło mu też długo. W Chinach wiódł na licznego i zaprawionego do boju wroga lud wojskowo niewyćwiczony i źle uzbrojony, tchórzliwy, lecz postrach jego własnej osoby szedł przodem i zwyciężał. Tak samo było w Sudanie za jego pierwszej tam bytności, gdy jako wielkorządca z ramienia wice-króla Egiptu, zaprowadził tam spokój i porządek, zgniół, wprawdzie srogo, powstanie band handlujących niewolnikami i zyskawszy nietylko władzę nad ludnością sudańską, która każdego cudzoziemca, a zwłaszcza chrześcijanina, nienawidzi, ale wysoki szacunek, cześć prawie religijną, związał silnie z Egiptem zdobytą dlań prowincją. Gdyby był pozostał tam na zawsze, gdyby był nie schodził ze stanowiska, które uważał za missyją swoją, byłby rzeczywiście stał się z niego dla ludności krain nadnilowych człowiek, opatrnościowy, który byłby wykorzenił okrutny handel ludźmi i umoralnił, podniósł dzikie plemiona zamieszkujące Sudan, to jest całą tę ogromną przestrzeń ziemi, która rozciąga się od południowej granicy Egiptu do wielkich Nyanza, to jest do wielkich jezior Alberta i Wiktoryi na południe; od Morza Czerwonego na wschód; od Sahary i Darfuru na zachód. Fizycznie jest to dolina górnej Nilu między jego źródłami a pierwszą kataraktą. Politycznie kraj ten obejmuje prowincje: Dongola, Berber, Suakim, Kassala, Massu ah, Sennar i Khartum, Kordofan, Chaka, Fashoda, Darfur, Bahr-el-Ghazel i prowincją zwrotnikową. Stolicą tej ogromnej krainy, przenoszącej obszarem swoim Francją, Hiszpanią i Niemcy razem wzięte, jest Khartum, położone wyniosłe u zbiegu Białego i Błękitnego Nilu. Prace uczonego francuza Mariette beya, wykazały, że Faraonowie starożytnego Egiptu rozciągali władzę swoją aż do wielkich jezior: Alberta, które angielski podróżnik kapitan Speke, odkrył w 1858 r., i Wiktoryi, do którego Anglik także, Samuel Baker dotarł w 1864 r. Ale panowanie Egiptu nad tym krajem murzynskim, jak Sudan był zwany niegdyś, upadło przeszło dwa tysiące lat temu i od dwóch tysięcy lat były to obszary szczęśliwie wolne, rządzone

1) Wiersz Lenartowicza, muzyka Komorowskiego.

przez licznych królików „pod których władzą żyły spokojnie liczne pokolenia rasy czarnej, wiodące żywot pierwotny na łonie natury i tak łagodne, że według świadectwa Bakera podróżnik europejski mógł jeszcze w 1861 r. błąkać się po ich ziemiach, nienarazony na większe niebezpieczeństwo niż ktoś, chcący w Londyjskim Hyde-Parku spacerować po zachodzie słońca. Zatraciła się tu wszelka tradycja władztwa Egiptu, gdy w 1819 r. Mehmet-Ali postanowił rozszerzyć panowanie swoje i posuwając się w głąb zagarnąć owe plemiona czarne, używając niezakłóconego istnienia i jakgdyby złotego jeszcze wieku, z którego nikt ich nie wytracił, dopóki Egipt nie przysłał im swoich Mameluków. Aż po rok 1881, zatem więcej niż przez pół wieku, wszyscy następcy Machmeta-Ali ciągnęli dalej to dzieło podboju, posuwając się stale naprzód przez pustynię Nubii, i znacząc ślad swego postępu przez obronnie utwierdzone posterunki, aż do wielkich jezior: na południe zaledwie o dwa stopnie od zwrotnika, na wschód do zatoki Aden, na zachód o kilka etapów od jeziora Czad. Między 1871 a 1874 podbój Górnego Nilu został ostatecznie dokonany przez Bakera na rzecz Kedywa Izmaela. Wzdłuż rzeki wzniesiono szereg ufortyfikowanych faktori. Sudan stał się teraz krajem otwartym i mógł tu wkroczyć śmiało wszelki handlarz, wszelki awanturnik: nad podbitą krainą czuwał tylko przysyłany do rządu basza turecki i żołdak Czerkies.

Oddawien dawna wciskał się tu chytrze albo zuchwale z biegiem Nilu jakiś podły rozbójnik: jeden, który prowadził handel kością słoniową, drugi hebanem, to jest murzynem, albo upojonym i związanym, uwięzionym podstępnie, albo upolowanym, jak wszelka inna zwierzyna, bawół lub antylopa, napędzonym w obławę. Czem był niegdyś na morzu korsarz, wypuszczający się za łupem z portów arabskich, flibustier zaczajony na Antyllach, tem zrobił się w kolei czasu handlarz Murzynów. Bandy łowców ludzi, którzy dostarczały mu tego towaru, pustoszyły oddawna Afrykę środkową, uprowadzając z nich rocznie tysiące nieszczęśliwych wyprowadzanych potem na rynek Konstantynopolu, Samarkandy, Maroko, uprawiających pod biczem dozorczy plantacje Ameryki Południowej, hiszpańskie i portugalskie osady. Ale teraz panowanie egipskie inaczej jeszcze dało się we znaki nieszczęśliwej krainie murzyńskiej, którą już nie po brzegach, ale wskrószyć łupić i mordować mogły dzikie potwory ludzkie. Przecięciowo milion ludzi było rocznie porwany, wśród bezbronnej, długo dziecinnie łatwowernej, dziecinnie nieradnej ludności, a choć zaledwie piąta część zostawała się przy życiu, dziesiątkowana w czasie transportu przez choroby i nędzę wszelkiego rodzaju, przez tęsknotę i głuchą rozpacz, jeszcze ohydny ten handel był tak korzystny, że się opłacał hojnie i przybierał coraz większe rozmiary. Kompanie handlarzy jawnie i spokojnie, rzec można pod opieką garnizonów egipskich, tworzyły się i działały, czyniły brojne wyprawy w głąb kraju, napadały wioski murzyńskie, paliły je i wśród ognia i trwogi napędzały przelekną ludność w sieci swojej obławy, pędziły ją potem w niezakłóconym spokoju ku portom Nilu, wywożąc jak stada bydła i porzucając trupów za sobą, lub na morzu, ciskając je obojętnie w jego tonie.

Baszowie egipscy, dowódcy egipskich sił zbrojnych, pobierali od tego swój haracz i obojętnie patrzyli na mordy i pożogi, na wyniszczenie kraju, który łupili na swoją rękę. Podatki i ciężary, nakładane na ludność nieszczęśliwą, przynosiły ją i zabijały wszelki dobrobyt, wysysały wszelkie soki życia i pograżyły wkrótce cały Sudan w takiej nędzy, że się stała przerażającą: wioski, spalone lub zruinowane, wyzierały jak trupy szczęśliwszej przeszłości zpośród pól zapuszczonych i nieuprawnych. Tysiące akrów roli, kiedyś rodzajnej, stały się teraz pustynią, a ludność, dotąd łagodna i dobra, teraz zamieniła się w dziką i nienawistną względem każdego białego człowieka, mordując go z zasadzki, skoro tylko mogła. Baker, teraz lord Baker, będący gubernatorem południowego Sudanu, pisze do Kedywa, że każdy piast wpływający do jego skarbu został na inną rękę dwukrotnie wyciśniętym

na zubożalej ludności przez poborców rządowych, że w Sudanie kwitnie już tylko handel nieszczęśliwym „hebanem“, że wszystkie pokolenia górnego Nilu są zrozpaczone, a ci, którzy ów handel prowadzą, stanowią w kraju jedyną i zastraszaającą, bo rozzachwaloną potęgę. Jemu kończyło się za rok czterolecie umowy z wice-królem i to był rapport, który mu zdawał. Nie mógł nic uczynić, czuł się bezsilnym, zniechęconym i wymówił Izmaelowi dalszą służbę swoją.

Wtedy-to wystąpił na scenę Jerzy Gordon, pułkownik w wojsku angielskim i kawaler orderu Łażni. Był to już przecież pułkownik Gordon sławny, z przydomkiem „chińskiego“, mandaryn drugiej klasy Państwa Niebieskiego, posiadający najwyższy stopień w chińskiej hierarchii wojskowej: Ti-Fu — człowiek, o którym pisano w Anglii dzieła: „Chinese Gordon by Archibald Forbes“, „The ever victorius Army, by Dr Andrew Wilson“. Wkrótce wyjdzie dzieło trzecie: „Colonel Gordon in central Africa, by Berbeck Hill“, bo zajmie on miejsce sir Bakera, ale zajmie je inaczej — jak bohater wielkiego serca, jak człowiek poświęcenia, który wyzwie na rękę oprawców nieszczęśliwej krainy i stoicy z niemi walkę, jak rycerz chrześcijański.

Jerzy Karol Gordon, urodzony w Woolwich 28 Stycznia 1833, syn generała artylerji angielskiej, Henryka Wiliama Gordon, od lat najmłodszych przeznaczonym był przez ojca do służby wojskowej, do której czuł też namiętny pociąg, choć pewne strony jego charakteru powinny były wyrobić inne zupełnie upodobanie. Niezmiernie nabożny i poetyczny marzyciel, okazywał przytem od dziecka gorącą miłość bliźniego i wielką litość nad wszelką nędzą ludzką: nad ubóstwem i ciemnotą, nad występkiem, który uważał jako upadek, jako poniżenie ducha, więc największe nieszczęście, w jakie istota ludzka popaść może. Łagodny niezmiernie, przywiązany silnie do rodziców i siostry, lękający się jak zbrodni zadania najmniejszego cierpienia jakimkolwiek żywemu tworowi, sprawił raz rodzicom wielkie zmartwienie i niepokój, zniknąwszy w jedenasty roku życia z domu, blisko na dwadzieścia cztery godziny. Było to w lecie, podczas wakacji, chłopiec poszedł po drugim śniadaniu łowić ryby w strumieniu niedużym, płynącym tuż po za ogrodem zamieszkiwanego domu, i nie wrócił na obiad, nie wrócił na noc! Przymuszczano nieszczęście, matka mdlała, ojciec wyprawił się ze służbą na poszukiwanie zaginionego, aby przecież wrócić o północy bez żadnego skutku, bez żadnego śladu zbiega. Nikt w okolicy chłopca nie widział i zdawało się, że ziemia rozstała się pod nim, gdy tymczasem na drugi dzień zjawił się on około południa, blady, zakurzony i — płaczący. Spotkał się z cyganami; prosili go o ułowione ryby i oddał je, ale chciał im dodać do tego daru coś więcej. Mówiono mu, że cyganie są poganami, że nie modlą się nigdy, nie chodzą do żadnego kościoła, a przytem kradną; więc zapragnąłich nawrócić do Boga i moralności; poszedł za niemi do ich obozu, który rozłożyli gdzieś w okolicy pod łaskiem i rozpoczął swoje dzieło misjonarza. Oddał im trzy szylingi, które miał przy sobie, obiecywał, że rodzice jego zrobią dla nich więcej, byle się nawrócili i osiedlili gdzieś stale, chcieli pracować porządnie. Czy dla tego, że chłopiec, modrooki i jasno włosny, był bardzo ładny i bawił ich i czy też chcieli za jego pomocą coś zyskać, gromada złożona z siedmiu osób słuchała go i nawet udawała nawróconą. Obiecywano mu zastosować się do jego nauk; młody entuzjasta zapomniał też, że czas płynie, że noc nadchodzi i spostrzegł się dopiero wtedy, gdy już gwiazdy wystąpiły na niebo. Poproszono go do wieczerzy, którą kobiety zgotowały u rozłożonego ogniska. Był głodny, więc zjadł i chciał wracać, ale noc była ciemna, bez księżycy, który wschodził dopiero nad ranem, i przyszły bohater lękał się puścić sam w drogę, a cyganie nie mogli go odprowadzić z powodu zakazu, który w Anglii zabrania im błąkania się wśród nocy po bocznych drogach między wioskami. Trzeba było ułożyć się do snu wśród cygańskiego taboru, że przecież chłopiec był pełnym poetycznej fantazyi i śmiałym bardzo, przystał i na to, zadowolony nawet, że

leżąc pod szalasem obok cygana mało co starszego niż on, mógł, patrząc w gwiazdy, szeptać mu jeszcze o Bogu i niebie, o encocie, która prowadzi tam kiedyś dusze ludzkie. Usnął wśród tego mały kaznodzieja, aby przecież obudzić się z uczuciem zgrozy i żalu, bo oto dwóch cyganów, których nie widział dotąd, powróciło do obozu z rozmaitemi przedmiotami skradzionemi w niedalekiem miasteczku. Zapomniano o chłopcu, czy sądzono, że śpi mocno, bo opowiadano sobie przegody, związane ze zdobyciem tych łupów i Gordon zerwał się boleśnie dotknięty, zrozpaczony, że jego słowa, które zdawały się wzruszać serca włóczęgów, nie przecież nie zdziały i oszukiwano go tylko, udając nawrócenie. Począł to im wymawiać namiętnie i postanowił opuścić tabor natchmiast, choć działo się to jeszcze przed świtem i było nie jaśniej, niż wieczorem. Ale teraz guiewny animusz ożywił małego entuzjastę; cyganie przecież nie mieli ochoty, aby znalazł się wkrótce w domu, zanim oni będą mogli oddalić się z okolicy. Że to był syn generała, nie chciano dopuścić się gwałtu; jeden z cyganów, niby przejęty skruchą, ofiarował się odprowadzić go, aby nie zbłądził; ale obiecując bliższą drogę, poprowadził biedaka nalewo, zamiast naprawo, uszedł tak, podniecając go do katechizowania blisko milę (angielską) i dopiero przyznając się, niby z przestrachem, że szli w kierunku fałszywym, zniknął mu nagle z oczu. Chłopiec trzy dni chorował ze zmartwienia, i uczucie żalu nad przewrotnością „nieszczęśliwych pogan“ było tak silne, że zapamiętał zdarzenie i opowiadał o niem ze wzruszeniem, już będąc człowiekiem dorosłym i oficerem wyższego stopnia.

Mając lat dziewiętnaście skończył akademią wojskową w Woolwich i wyszedł z niej jako podporucznik inżynierji. Pierwszy chrzest broni otrzymał w Kampanii Krymskiej. Ranny w głowę odłamem granatu w przykopach pod Sewastopolem, awansował na porucznika, i otrzymał order zasługi wojskowej, a czyn jego mężstwa został ogłoszony w raporcie dziennym generała dowodzącego. On, młodzieniec mający lat dwadzieścia jeden, napisał do matki, że go to cieszy, bo jest przekonany, iż wojna jest prowadzona w dobrej sprawie.

Na polu bitwy widząc trupy poległych żałośnie troszczył się o stan dusz biedaków, którzy zginęli „nagłą śmiercią“. Z anielską litością dźwigał z ziemi zakrwawione ciała, dobudując się w nich iskierki życia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

N. Lenau.

PIEŚŃ W SITOWIU

przełożył z czeskiego Miriam.

I.

Gdzieś za górą znikło słońce,
Usnął już zmęczony dzień;
Rzędy wierzb się chyłą śpiące;
Ponad stawem — cisza, cień.

Ah, jam musiał — to okrutnie —
Rzucić lubą... Płynicie łzy!
Wierzb szeregi szemrzają smutnie,
Wiatr w sitowiu lekko drży.

Oddalona, świecisz przecie
W bólu mego cichą głąb, —
Jak nad trzcim splełanych siecie,
Blyszczy gwiazda przez chmur kłęb.

II.

Mętne niebo, chmury pędza,
Deszcz posepny, w dali grzmi,
Zimne wiatry głośno zrzędzą:
„Stawie, gdzie świt gwiazdy twój?”

I szukają zgasłych blasków
Na jeziora ciemnym dnie....
Twej miłości jasnych brząsków
Nie zobaczy ból mój, nie!

III.

Ścieżką leśną, pelen drżenia,
Biegnę chętnie w nocnej mgle.
Gdzie sitowie staw ocienia,
Dziewczę me, wspominam cię!

Gdy wiatr zmarszczy wierzchy fali,
Tajemniczo drży trzcina las;
Coś tam szepcze, coś się żali,
A ja płacząc długi czas.

Bo zda mi się—słyszę lekki,
Srebrny głosu twego dźwięk,
Jak rozplywa się w dalekiej
Gdzieś przestrzeni w śpiwny jęk.

IV.

Zaszedł słońca krąg,
Ciagną pasy chmur:
Jakie wonie z łąk,
Jaki wietrzyk z gór!

Już błyskawic skry
Rzucił chmur tych kłęb,
Ich odbiciem lśni
Ciemna stawu głęb.

Śród ognistych fal,
Zda się, widzę cię,
I wiejące w dal
Długie włosy twe.

V.

Na jezioro oniemiałe
Leje księżyc srebrny świt,
Wplata swoje róże białe
W każdej kępy wodnej szczyt.

Sarny błędzą w leśnej głuszy,
Patrzą w ciemną dal śród drzew;
Czasem ptak się w trzcinie ruszy,
Strzepnie skrzydłem, zadrży krzew.

Płacze, we łzach toną oczy;
Z najtajniejszych serca stron
Płynie obraz twój uroczy,
Jak wieczornych modlitw ton!

JUSTKA

MINIATURA

z życia powszedniego

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Z takim majątkiem, o jakim mówiono, Leon
dawną świetność rodu (bo któryż ród nie był

świątynnym niegdyś, i nie ma o tej tradycji?) miał
odżywić, siostrę wyposażyć i zająć stanowisko,
na jakie zasługiwał.

Marzyła Sędzinka i uśmiechała się zawczasu,
pewna, że nadzieje te Leonek ziścić potrafi.

O synu miała wyobrażenie wysokie i wistocie
usprawiedliwione, bo dokoła nie widziała nikogo,
ktoby się z nim mógł porównać. Leon był prak-
tyczny, wyrachowany, miał wiele taktu, nie
zbywało mu i na pewnej zręczności w postępowa-
niu, a oczy matki nie mogły dostrzedz, że obok
tych przymiotów nie miał w sobie nic sympatycz-
nego, nic pociągającego.

Wybranie się Aurelego z matką, połączone było
z tylu trudnościami, że się nieco opóźniło i p. Leon
mógł go wyprzedzić. Z opowiadań o domu baro-
na wnosząc, Porochowa przekonywała się, że po-
trzebowana co się zowie—wystąpić; zatem nietyl-
ko sama dla siebie, ale dla towarzyszącego dworu
musiała wszystko sprzątać nowe. Koszta by-
ły ogromne, ale nadzieje niemniejsze: rachowała
na to, iż biedne dziewczę musiało ją czcić jako
swą wybawicielkę, chociaż sama ona wiedziała
najlepiej, dlaczego i w jaki sposób dokonała tego
dzieła, którem się teraz chlubiła. W jej wyobra-
źni przybierało ono teraz wcale inne barwy i fi-
ziognomią.

Szereg przyjęć i wieczorów w domu barona
rozpoczął się naprzód skromnymi herbatami dwa
razy w tygodniu, na które raz na zawsze zapro-
szeni byli wszyscy znajomi. Zwykle kilku star-
szych panów przychodziło dla złożenia partyjki
wista z gospodarzem, reszta zaś towarzystwa
zajmowała się rozmową, przeglądaniem nowości,
których zawsze było pełno na stoliku Justki—bo
baron kazał przysyłać, a księgarze chętnie mu
służyli—czasem muzyką. Nie tańczono jeszcze,
bo Justka, choć zręczna i licząca się do lepszych
tancerek, nie miała szczególnego upodobania
w skokach.

Wielu biedaków zwabiała i to do domu barona,
że oprócz herbaty ze wszystkimi możliwymi do
niej przystawkami, dawano potem doskonałą go-
rącą wieszakę, wykwiśniętą i obfitą.

Na pierwszy jednak z tych wieczorów osób się
zebrało niewiele, gdyż jednych w Warszawie jesz-
cze nie było, inni o powrocie barona z wycieczki
na wieś nie wiedzieli.

Professor Dobek, Zygmunt, a później pan Leon
stawili się pomiędzy innymi.

Zygmunt, który był szczerym i otwartym z pię-
kną panną, drugiego wieczora powiedział jej, że
ją znalazł po powrocie ze wsi zmienioną i smut-
niejszą, niż bywała zwykle.

— Smutniejszą?—odparła Justka, siląc się na
uśmiešek,—ale powiedz—że mi pan, kiedyś mnie
widział roztrzępaną i wesołą? Historia mojego
życia nie jest panu obcą, a ja się z nią nie taję.
Otoż, może skutkiem tej przeszłości czy natury
mojej—mam przecucie jakiegoś czegoś mi za-
grazającego. Zdaje mi się zawsze, że się wkra-
dła nieprawnie na to stanowisko, które mi się nie
należy, i że z niego zepchniętą być muszę—i to
mnie czyni nieśmiałą i trwożliwą.

— Jest to poprostu przywidzenie—rzekł weso-
ło Zygmunt—bo nie masz pani najmniejszego po-
wodu, żadnej oznaki, któraby zmianą położenia
grozić mogła. Pocóż się tem dręczyć!

— To się nie dzieje dobrowolnie—odparła Just-
ka.—Bronię się przecuciom, lecz one uparcie
powracają.

— A! nie—zawołał Zygmunt rażno—ale czło-
wiek jest tak stworzony, że gdy mu dobrze, gdy
nie brak, zmyśla sobie goręcze dla przygo-
wy monotonnego żywota.

— Przyznasz pan, że mnie obwiniać się nie go-
dzi o wybryki fantazyi; życie moje rzeczywiste
przechodzi fantastycznością wszystko, coby wy-
obraźnia wymyśleć mogła, zatem—może to mojem
przeznaczeniem?

Zygmunt się oburzył.

— Ale dajmyż pokój temu przedmiotowi—
rzekł—ja-m winien, że go zagaił. Bądź pani
wesoła, nawet w najgorszym razie, człowiek po-
winien, póki może, z chmur się otrząsać. Nie cier-
pię tych Szopenhauerzystów, którzy plują dru-

gim w jadło, sami jeść nie mogąc. Moją zasadą i
prawdłem: mężnie naprzód, wesoło i nie skarżąc
się nigdy! Skarga dowodzi słabości, zwiększa
ból, a nie słodzi nic.

— Masz pan słuszność—odezwała się Justka—
zasadę tę przyjmuję od pana; tylko: z kądem sił na
jej zastosowanie codzienne?

— Dam jeden sposób—wtrącił Zygmunt.—Gdy
się zechce skarżyć i stękać, wziąć się do pracy—
zmusić.

Z widocznym współczuciem podała mu rączkę
Justka.—Rozmowę dalszą przerwali krążący i
cisnący się do pięknej panny, z których każdy się
starał zwrócić na siebie jej uwagę. Leon też, po
teraźniejszym powrocie do miasta odwiedzający
barona wydał się Justce zmienionym, jakby za-
grzanym i podbudzonym do nadskakiwania jej.
Zdziwiło ją to trochę.

Leonowi w tem przypodobaniu się pięknej
pannie bardzo się nie mogło szczęścić, z powodu,
że ani zajęcia, ani upodobania ich nie miały z so-
bą nic wspólnego.

Zagajał najrozmaitsze przedmioty, ale ani sztuka,
ani literatura, ani nauki nie zajmowały go
wielce, a życie praktyczne i powszednie plotki
nie obchodziły wcale Justki, która słuchała ich
zmusu, lecz: nawet nie odpowiadała.

Tego dnia Leon, niewiedząc już czem ją zająć,
zapytał: czy panna Justyna zamierza w tym roku
wiele tańcować i bywać w świecie? zdawało mu
się, że—miała słabość do tego.

Spojrzała na niego trochę szydersko.

— A pan?—zapytała.

— Ja?—rzekł wesoło Leon—miałem pozostać
na wsi i zamierzałem gospodarować; matka roz-
kazała mi się jeszcze ocierać o ludzi: powróciłem
więc, niemając wiele do czynienia i—muszę się
choć bawić.

— Pana to bawi?—wtrąciła złośliwie Justka.

— Zmusza mnie pani do powiedzenia kompli-
mentu, bo inaczej—bym skłamał—rzekł Leon.
Mnie to bawi naówczas, kiedy wśród zabaw pa-
nią spotykam.

Dziwną minę przybrawszy, Justyna poważnie
bardzo i ceremonialnie, zamiast odpowiedzi—dy-
gnęła mu.

Zboku stał nieśmiały a ulubiony jej professor
Dobek. Zwróciła się do niego, jakgdyby z Leo-
nem rozmowę za wyczerpaną uważała.

— Professorze, zdobyłeś co czasu wakacyi?
Masz jaką nową roślinę?

Dobkowi się oczy zaśmiały.

— A? pani—rzekł—ludzie już tak szperali po
wszystkich kątach, szukali i spisywali, że nam,
późno przychodzącym, pozostały tylko szczątki po
nich i niedogryzki.

Co było w naszej florze pięknego, okazałego,
wszystko to spisano, wrysowano, zarejestrowa-
no. My musimy maluteczkie, niepostrzeżone
mchy i porosty przez mikroskopy studyować,
a gdy kto z nas odkryje nową pleśń nienazwaną
i nieuklasyfikowaną, musi się i tem zaspokoić.

— A znalazłeś pan chociaż pleśń?—zapytała
Justyna.

— Kilka—odparł z widoczną radością profes-
sor.—Drzę tylko, że gdy ja tu je mam za moje
zdobycze, może już ktoś je przedemną wpisał i
odkradł owoc pracy.

Justynka słuchała go z zajęciem; Zygmunt, któ-
ry profesora lubił, stał przy nim; Dobek zaczął
żywo opowiadać o swych poszukiwaniach, o roz-
koszach mikroskopu, o utworach maleńkich, nie-
postrzeżonych, które są całym światem niezna-
nym.

W chwilę potem muzyk rozprawił z nią o Wa-
gnerze; potem u stolika fotografia nowego obra-
zu wzbudziła gorące rozprawy o nim.

Zygmunt był w duszy artystą i dosyć się sztuką
zajmował, a że inni często prawili androny, wda-
jąc się w rozprawy artystyczne, złośliwym więc
dowcipem swym chlęstał dyletantów.

Bawiono się tego wieczora doskonale, może le-
piej niż kiedykolwiek oddawna; Justynka nawet
dała się rozerwać, chmurki znikły z jej czoła;
uśmiech i wesołość rozpromieniły ją.

Ile razy z tego usposobienia chciał korzystać
pan Leon i zbliżał się do niej—zbywała go
grzecznie lecz zimno, co mocno biednego jątrzyło.

Czuł się nie gorszym od Zygmunia i profesora, którzy w jego oczach byli figurami nieznaczącymi, a im dawano widocznie pierwszeństwo. Był nie w humorze, dotrwał jednak do wieczery, spodziewając się w ogólnej rozmowie wynagrodzić sobie to niepowodzenie; lecz u stołu Zygmunt i jeden ze starszych panów tak opanowali wszystkich i zajęli, że Leon ledwie słowo mógł wtrącić. a to, z czem się odzywał, przechodziło niepostrzeżone.

Wyszedł więc od barona wcale nie rad z tego pierwszego wystąpienia, choć usiłował się sam przekonać, że w przyszłości da się to naprawić. Nudziło go to, co nazywał śmieszną pedanterią w pannie, zajmującej się naukami i sztuką, gdy powinna była, według niego, myśleć o tańcu, o zabawie i zalotach. Nie wątpił, że miała jakąś słabą stronę, którą odkryć postanowił i z tego korzystać. Leon miał się za niepospolicie obdarzonego i zręcznego młodzieńca.

Aurelego w tydzień potem jeszcze nie było. P. Porochowa ciągle potrzebowała czegoś i coś ją powstrzymywało. Naostatek wybrała się w podróż z gotowym planem postępowania.

Odrzucając się narzucić niespodzianie Justce nie śmiała; ułożonem więc zostało, że list ma ją uprzedzić.

W liście tym, pracowicie zredagowanym, pisanym i przepisującym kilkakrotnie — wyrażała Porochowa całą swą radość i zdumienie, z wiadomością o szczęśliwym losie, jaki spotkał Justkę. Starła się przypomnieć jej swą ofiarę, zasługę, pomoc...

List ten w niemały kłopot wprowadził dziewczę. Pamiętała dobrze, jak się z nią obeszła Porochowa, rozumiała dlaczego tak postąpiła, a nie chciała okazać się — niewdzięczną. Przybycie jej — obowiązek przyjęcia, zajmowanie się nią, niesmak, jaki to mogło zrodzić w baronie, wprawiły ją chwilowo w troskę niemiłą. Rozważała jak miała postąpić? — poszła z listem do dziadunia, aby mu się wyświadczyć.

Nieograniczonej dobroci i wyrozumiałości był ten biedny baron. Wiedział on z opowiadań powtarzanych Justki: w jaki sposób i dlaczego Porochowa pomagała jej do ucieczki; nie sądził, aby dziewczę do wielkiej wdzięczności było obowiązane — ale, gdy Justka o niej oznajmiła, rzekł śmiejąc się:

— Proszę cię, jeżeli się jej zdaje, że jest dobrodziejką twoją, jeśli ma uczucie jakie w sercu dla ciebie, czemuż jej nie przyjąć dobrze i serdecznie? Długo tu nie posiedzi. Zaprosz ją na obiad, na herbatę, ugość, obdaruj, a ja pomogę ci w tem.

Od czasu, jak Porochowej nie widziała Justka, jej własne pojęcia o ludziach się zmieniły; nie była pewną jak się jej ona teraz wyda, a przeczuwała, że wrażenie korzystnym nie będzie.

Cóż było robić? Zamiast odpowiedzieć na list, pojechała do Hotelu Krakowskiego, w którym stanęła Porochowa, i znalazła ją tam nieubraną i zamysloną nad podanym rachunkiem wczorajszym, który przeraził ją summą ogólną, choć hotel do najdroższych się nie liczył. Pokoiki zajmowane od dziadunia były w nieładzie, brudne i ciemne. Pan Aureli towarzyszył matce.

Gdyby nie wiedziała zawczasu, iż tam znajdzie dawną znajomą, Justka w zeszłej, zadychanej, pomarszczonej jejmości nie poznałaby Porochowej, tak jak ona pewnie w ślicznej tej, skromnej, ale nadzwyczaj starannie, ustrojonej panience nie domyśliłaby się obdarzonej Justki.

Przyjęcie ze strony Porochowej było pełne zaupań i uniesienia. Nie wiedziała, gdzie ją i pannę Jolantę posadzić; mówiła, płakała, patrzyła z rozrzewnieniem — słowem: dawała oznaki takiego wzruszenia, iż Justka, zmieszana od progno, jeszcze bardziej się zakłopotowała. Do tego uczucia trudno się jej było dostroić.

Porochowa poczęła od wspomnień łzawych, jak Justkę w kościele, ot taką, ot tyką (pokazywała ile od ziemi odrosła) widywała, jak ona ją zawsze żywo interessowała, jak bolała nad jej losem i tam dalej.

Wszystko to znalazło się teraz, choć dawniej oznak współczucia innych, nad wybadywanie jej o Sędzinkę, nie przypominała sobie Justka. Porochowa była pewna, że tem sobie ujmie i za-

skarbi Justkę, a znalazła ją zapewne dosyć zimną, bo — dziewczę rozgrzać się nie umiało. Nastąpiło zaproszenie na obiad i herbatę.

Przybyła zaraz na wstępie chciała z synem wystąpić i wyrozumieć Justkę, lecz ta, zaledwie spojrzawszy na p. Aurelego, rozmowę zwróciła. Matka potem, umyślnie naprzód popychając jednaka, sama ustępowała, aby on mógł się zbliżyć. lecz i ten manewr strategiczny się nie powiódł. Rozmyślnie Justka chciała jej odjąć nadzieję, której się domyślała.

Nie bawiąc długo, Justka, ponowiwszy zaproszenie, z uszanowaniem i grzecznością, lecz chłodno dosyć, pożegnała panią Porochową, która ją wyprowadziła aż na wschody.

Aureli zeszedł aż na dół do powozu, towarzysząc pannie Justynie.

Powróciwszy, zastał matkę smutnie zadumaną wpośród izdebki, z oczyma zwróconymi na rachunek hotelowy. Zaledwie syna zobaczywszy Porochowa odezwała się do niego.

— Mnie się widzi. Relku mój, że my to wszystko napróżnośmy podjęli. Co się z tej dziewczyny zrobiło! Proszę ciebie, pamiętam, ręce miała zarobione, poodmrażane, brzydkie... a dziś — jak zdjęła rękawiczkę...

Aureli się uśmiechał.

— Ręce — to nic — odparł — ale główka i serce! rzekł — tym się dopiero dziwować.

— Czy ona dla wszystkich tak zimna i sztywna? — zapytała matka.

— Jam jej inną nie widywał — rzekł Aureli.

Posmutniała wielce Porochowa, lecz natychmiast trzeba się było zająć przygotowaniem ubrania do obiadu, i to rozerwało nieco biedną parafiankę, którą obyczaj i cały porządek życia wielkiego miasta co chwila wprawiały w zdumienie, tak, że bez syna obejść się nie mogła.

Zwątpienie o powodzeniu po przyjęciu i obiedzie u Barona jeszcze się powiększyło. Domu na takiej stopie nigdy w życiu nie widziała Porochowa. Baron, mimo grzeczności, swem obejściem się pańskim nie pozwalał jej się spoufalić; nie śmiała mówić, obawiała się z czemś niestosownem wyrwać i powróciła do hotelu zmęczona, przybita, ze złości przeczuciami, wyrzucając sobie, że przez miłość dla syna ważyła się na tę wyprawę po złote runo.

Aureli, który w oprawie domku wiejskiego błyszczał jak brylant, tu się jej wydawał — nawet macierzyńskiemu sercu — przygasłym i zmalałym.

Na obiad razem tego dnia proszony Zygmunt zupełnie go na drugi plan usunął i kilka razy Aureli widocznie placu mu dotrzymać nie mógł.

Wróciwszy do hotelu, po obiedzie tak smakowitym, że sama o tem nie wiedząc, Porochowa w nim miarę przebrała, musiała naprzód niezmiernie wiele pić wody, potem herbaty i uczyła się niedomagającą.

Gdy Aureli mówił jej dobranoc, szepnęła:

— Masz ty jaką nadzieję?

— Nie widzę powodu, abym miał zwątpić — odparł syn. — Niech mama się nie turbuje, a mnie zostawi staranie: ja będę wiedział jak sobie poczynać.

— A stary baron! Nie możnaby jego ująć sobie? — szepnęła matka.

— U mnie to wszystko wchodzi w rachunek — rzekł poważnie Aureli, więcej okazując pewności siebie, niż jej miał wistocie.

Spytawszy jeszcze o Leona, bo i ten ją niepokoił, uspokoiła się naostatek zmęczona, wzruszona parafianka i po ramiaku, który dzień zamknął, udała się na spoczynek.

Pobył Porochowej w Warszawie, w ten sposób rozpoczęty, nie przeciągnął się zbyt długo. Sama ona postrzegła, że mało mogła być synowi użyteczną, a w towarzystwie otaczającym Justkę czuła się zbyt obcą. Koszta przytem znaczne zastraszały nie nawykłą do wydawania gotówki, i po kilku dniach, otrzymawszy drogocenny zegareczek od panny, inną jakąś pamiątkę od barona, Porochowa, dosyć smutna, ze łzami opuściła miasto, przekazując synowi dalsze staranie.

Naprawdę wielkich nie miała nadziei, a pocieszało ją tylko to, że Leonkowi nie lepiej się

powodziło. Aureli zaręczał jej za to — i nie mylił się.

Była jednak różnica pomiędzy nim a Leonem. Obaj oni rozpoczęli starania z sercami zamkniętymi, Aureli trzpiot i lubiący się bawić, wcale się kochać nie myślał; Leon zimny, obrachowany, praktyczny z początku też przypatrywał się tej Justce, jako fenomenowi, nie czując dla niej sympatii, lecz w nim była możność przywiązania się i niezużyte na płochę igraszki serce.

Jedna rozmowa poważniejsza z Justką uczyniła na nim wrażenie głębokie; uznał ją, jak inni, za istotę wyjątkową i godną tego, aby się nią zająć żywo.

Obudziła w nim naprzód ciekawość, potem sympatya.

Nie narzuczał się jej zbyt, lecz Justka spostrzegła nawet, że się zbliżyć usiłował i sam w lepszym okazać światło.

Chociaż wspomnienie Sędzinki i młodości odstręczało ją od Leona, była nadto sprawiedliwą, ażeby nie ocenić go i nie wyróżnić.

Dostąpił tego honoru, którego mu współzawodniczący Aureli wielce zazdrościł, że z nim długo i poważnie rozmawiała, nie odprawując go żarcikami, jak młodzież inną.

Leon po kilku takich zamianach myśli nabył przekonania, że stracić głowę dla niej nie było trudno. Jeżeli się na dni kilka oddalił i nie widywał jej, czuł już tęsknotę i powracał.

Rachuby na miliony, z jakimi go tu matka wyprawiła, wcale nie były na pierwszym planie. Leon czuł, że w zupełnie ubogiej kochać-by się musiał, taką dla niego miała ponętę. On sam pod jej wpływem widział się wyszlachetnionym.

Aureli żartował z niego, że „zaszłapał, jak się wyraża, na co Leon nie odpowiadał nawet.

Do towarzystwa, o którym mówiliśmy, zima znaczny, nowy kontyngens przyniosła. Salon barona był przepełniony, a piękna Justka miała tylko trudność wyboru wśród świetnego orszaku, jaki ją otaczał. Nikt jednak z tych wielbicieli nie ośmielił się dotąd wystąpić tak wyraziście i dobitnie, ażeby innych odstręczyć. Justka szczególniej trzymać umiała ich na wodzy, w pewnym oddaleniu, którego bliższa znajomość nie zmniejszała.

Tym, którzy się odważali na dwuznaczne uczucia w swych wypowiedziach, dawała odpowiedzi wcale nie zachęcające.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jerzy Brandes w Warszawie.

Medycynie zawdzięcza Warszawa posiadanie w swych murach najrozsławniejszego dziś krytyka i historyka literatury w całej Europie, od Reau do Dniepru, od morza Północnego do Zatoki Botnickiej. Gdyby nie uprzejmość jednego z lekarzy warszawskich, który w Niemczech poznał się z Brandesem i namówił go do przyjazdu, Brandes sam nie byłby pewno o nas pomyślał. Autor *Głównych prądów w literaturze XIX wieku*, w chwili zawiązywania stosunków w Warszawianem zajęty był wygłaszaniem prelekcji w Niemczech. W Styczniu jeszcze zachwycał Frankfurt nadmeński wykładami o „Młodych Niemczech“, o tej bojującej szlachetnej literaturze 1830—1850 r., która w byłem wolnem, a dziś pruskim, mieście zawsze sympatye żywe znajdowała. Przy wielkiej łatwości pisarskiej Brandesowi nie trudno było obmyśleć coś i dla Warszawy; nie potrzebował nawet umyślnie do stolika zasiadać, wyciągnął tylko szufladę; przyjechał do nas z kilkunastu prelekcjami, przygotowanymi już do wygłoszenia. Jego dzieło główne, które mu sławę zjednało, jest u nas tak mało znanem, że mógł też bezkarnie wyjąć z niego którykolwiek rozdział i przypisać go na prelekcya. Tak też zrobił: z tomu V-go *Prądów*, nieistniejącego jeszcze w przekładzie polskim, ale podanego

w bardzo obszernem streszczeniu w *Bluszczu* z roku zeszłego, wykroił odczyt „O romantyzmie francuzkim“; jakiś znowu dawniejszy odczyt niemiecki „O duchowym kierunku Skandynawii a raczej Danii, zwłaszcza jej literatury“; przelał w wysłownie francuzkie i tak powstały dwa wykłady w trzech godzinach, wygłoszone w Sali Ratuszowej naszego miasta w d. 10, 12 i 13 Lutego b. r. Sala nie była przetłoczona, ale mimo to Dobroczytność zyskała z 10.000; tyleż i sam prelegent. Silnej inteligencji nie dał los silnego głosu: nawet bliżej siedzący dobrze słuch wyteżać musieli, żeby słów nie tracić, szczególnie na pierwszej prelekcji, „O Danii“. Wygłosił ją Brandes z większą obiektywnością zewnętrzną niż wewnętrzną: nic się w nim nie zapaliło przez całą godzinę; mówił monotonię o tem, co mu było najbliższem. Dopiero na drugim wykładzie, o Francuzach, ożywił się; wogóle jednak powiedzieć o nim trzeba, że jest znakomitym krytykiem i pisarzem, ale nie jest mową znakomitym.

Poznanie głównego dzieła Brandesa nie było tak łatwem, jak poznanie samej jego osoby, gdy ta już raz szczęśliwie w Warszawie się znalazła. Aby poznać dzieło, potrzeba je przeczytać, aby powiedzieć, że się zna człowieka, dość tylko na niego spojrzeć, choćby z przyzwyczajonej salonowej odległości. Rwno się więc do poznania Brandesa z gorączkową żywością. W pewnych kołach, uważających się za racjonalistyczne i postępowe. Brandes literalnie imponował swoją obecnością w Warszawie. Nawet towarzystwo arystokratyczne nie wahało się przyjmować u siebie tego niedowiarka i postępowca; widziało w nim tylko znakomitość europejską. Jak we wszystkim, tak i w tem byliśmy pochopni do chwytania pierwszej lepszej nowości, do zawiązywania stosunków powierzchownych, do dziwowiska i sceneryi. Poważna, piękna mowa p. Kościelskiego, wypowiedziana połączynie w biesiadzie wydanej gościowi przez część literatów i dziennikarzy warszawskich, sięgnęła w głąb warunków życia naszej literatury; ale czy rzeczywiście Brandes wyjeżdżał od nas z wiedzą gdzie był i z wrażeniem takim, jakie wywieść był powinien? Zobaczmy z tego, co o nas powie — jeżeli co powie, a milczenie samo będzie już dość wymowną odpowiedzią. Jego surowy racjonalizm, jego chłodna, niemilosierna obserwacja, jego krytycyzm, niechający się nigdy unieść w sfery sympatyj, jego trzeźwość, prawie przerażająca, hołdowanie faktom, przechylenie się ku Niemcom, a przytem zupełna nieznajomość życia i literatury polskiej — wywołują wątpliwość, czyśmy istotnie co zyskali na bytności Brandesa, prócz owego dochodu przeznaczanego na cel użyteczności publicznej — i co mianowicie? Mały, prawda, obietnicę, że się gość nasz duński do literatury naszej zwróci, wniknie w nią, i coś o niej w dalszym ciągu swojego dzieła napisze. Zaczęto mu już dostarczać materiałów bibliograficznych — w przekonaniu, iż znakomity krytyk i estetyk poprzestanie na poznaniu nas z przekładów niemieckich i francuzkich. Byłoby to już coś, ale to coś nie zadowoliliby ani samego krytyka, ani nas, ani prawdy historycznej. Chcąc być zadowolonym z samego siebie, Brandes musiałby się zwrócić, nietylko do piśmiennictwa, ale i do języka naszego — nauczyć się popolsku, a potem dopiero poznawać to, co w historii literatury powszechnej żyć ma prawo. Jedyna to droga poważna i godna takiej siły; ale czy można się spodziewać, że tej drogi właśnie Brandes nie uzna dla siebie za zbyt kamienistą?

Nadziei nie wiele, obaw więcej — dla mnie przynajmniej, który to piszę. Lękam się; czy ta znakomitość nie wyniosła znad Wisły wrażeń, któreby jej pozwoliły porównać nas do Indyan czerwonoskórych; czy widząc wszędzie wesołość, świetność, złociste blaski i strzeliste affekta — nie pomyślała sobie, że jesteśmy gromadą istot ludzkich niemyślących o jutrze, wydanych na pastwę nędznego bytu rodzajowego, żyjących zmysłowo, uciekających od pracy, prześlizgujących się tylko przez świat, w którym przecież wszystko, co żyć chce, iść może tylko przebojem. Lękam się tego bardzo, właśnie z powodu owego niemilosierdzia, które przymiot rozumu Brandesa stanowi. Wprawdzie całej inteligencji społecznej nie było

w tych salonach, w których podejmowano gości, racząc go biesiadą, rozmową, muzyką, śpiewem, nawet niewinną zalotnością; ale i Brandes, mimo swej trzeźwości jest przecież wrażliwym: co go stale spotykało, to chyba za stały również objaw uważać musi. Jakże przytem ubogą, obdartą, nędzną wydać mu się musiała ta nasza ukochana Warszawa! Ani *almae matris*, ani akademii, ani muzeów, ani galeryi, ani stowarzyszeń naukowych, ani wielkich pomników; nawet kościoła porządnego nie mogliśmy mu pokazać — jemu, co już tyle wspaniałości świata cywilizowanego oglądał. Większy jeszcze nadto wszystko brak uderzyć go musiał: brak tego życia, które gdzieindziej potokami płynie. Wielkie miasta europejskie inaczej wyglądają. Czy też znakomity myśliciel postawił sobie pytanie: dlaczego? — on, co je stawia ciągle wszystkiemu i wszystkim i do ostatecznej przyczyny z samego temperamentu, z zasady, z konieczności swej wewnętrznej, zawsze dotrzeć usiłuje? Bóg wie... Brandes wypowiedział walkę idei Boga; imienia jego nie pisze wprawdzie przez małe *b*, jakby uczynił porządnym szanujący siebie ateusz warszawski; ale wcale go nie pisze i nie wymawia. Jak Laplace, tak on do systemu swego Boga nie potrzebuje. Nie dość ma tego, że teologią pakuje do jednego kotła z alchemią i astrologią; ale jeszcze duszę swą zamyka szczelnie na wszelki idealny powiew metafizyczny. W całym jego pięciotomowym dziele nigdzie, nawet z najtajniejszego zakątka, nie wyjrzy deizm, nie ozwie się potrzeba umysłu szukającego oparcia w jakimś wyższym, choćby dopiero na dalekie jutro świata ustanowionym, porządku, nie zadrzy pragnienie serca, któreby w materialnej rzeczywistości utajonego ducha odczuwało. Nic nie podnosi, nie wypiera, nie rwie tej istoty ku górze; niczego ten umysł poza materią zorganizowaną nie widzi. Ziemia i słońce, a ze słońca życie na ziemi, a z życia myśl i energia nazywana duchem: to wszystko. Siły człowieka nie są jego tylko siłami; wspólne są całej naturze. Tam, po drugiej stronie doczesności, może być tylko — step bezludny, zimny, ciemny, nieskończony. Wieczność jest tylko nazwą nieskończonego czasu. Na takim stanowisku człowiek ten stał już w pierwszej polemice swojej z Nielsem, lat temu blisko dwadzieścia; takiego stanowiska do dziś dnia nie opuścił. Nielsen chciał realnie sferę wiary przed powodzią pozytywizmu: dwudziestokoletni Brandes z kolegami swymi świeżo zpod igły uniwersyteckiej wyszłymi, nie pozwolił mu na to. Spór był bardzo zacięty i rozgłosił imię młodego laureata jeszcze przedtem, zanim talent jego i wiedza zabłysnąć zdołały w historii literatury. Ta walka młodych ze starymi, młodej energii ze starym rozumem, doświadczeniem i nałogami, toczyła się w tym samym czasie, co u nas i w następstwie takich samych okoliczności. Nietylko w Kopenhadze, ale i w Warszawie młodzież przynosiła idee nowe, stawała na wyłomie otwierała drzwi i okna nazewnątr, w przekonaniu, że temi drzwiami i oknami wejdzie świeże, orzeźwiający powietrze, jasne, niezawodzące w poznaniu prawdy światło, niezmożona niczem czerstwość i siła. I tu i tam wołano: „Precz ze stęchlizną, precz z marzeniami! Wiedza to potęga! Życie to młodość! Usunąć się starzy: mamy już dla was trumny gotowe“. Starzy nie usunęli się i nie odmłodnieli i żyją a młodzi swoją koleją się postarzelili i życie poszło dalej mimo woli ludzkiej, nie tak, jak je mieć chcieli jedni, nie tak, jak o niem marzyli drudzy. Z całego tego poematu młodości, odegranego na scenie życia trochę obyczajem bohaterów z epepej barbarzyńskich, pozostało zamilowanie wiedzy, chęć ucziwa poznawania nauki i oświaty zachodniej, krytycyzm w poglądzie na stosunki społeczne i na dzieła umysłu i wyobraźni; ale sama filozoficzno-socjologiczna doktryna, która miała być czemś, jak uniwersalne Leroy: dobrą na wszystko — doktryna ta nie ma już chyba ani jednego wyznawcy szczerego pomiędzy pierwotnymi bojownikami. Pisuje się jeszcze podawemu, ale już tylko *pro honore domus*. W głębi samowiedzy swego rozumu, w komorze duszy swojej zamknięty, postępowiec dawny z roku 1848 lub 9, dziś już widzi dobrze, iż nienawiści do duchow-

wieństwa i religii niepodobna erylować w dogmat społeczny; że Bóg, czy przez duże czy przez małe *b* pisany, Bogiem być nie przestanie, że demokracji nie można posuwać do zupełnego wytepienia większej własności, że do oświaty i podniesienia ludzi potrzeba innych jeszcze czynników prócz dobrej woli ludzkiej, że burzeniem tradycyi niczego się nie buduje i niczego społeczeństwu nie przynosi, że religia wcale nie przeszkadza wiedzy, przeciwnie, obie nie zaczepiając się i nie robiąc na siebie najzdów, zgodnie obok siebie istnieć mogą, że wreszcie niekoniecznie potrzeba być pozytywistą i materialistą, wierzyć w nieomylność teorii Darwina, wysmiewać idealizm i wiarę w ducha jako zabobon, — aby być człowiekiem nieciążącym na etacie życia społecznego, mieć umysł wykształcony, charakter prawy i jakotako użyteczną działalność nazewnątr. Umysły głębsze z pomiędzy tych stojących niegdys na wyłomie musiały dostrzedz, że wiara w wiekuistość nie przeszkadza wcale w pracy doczesnej, że można mieć doskonale drogi bite i żelazne, wyborne kanały i mosty, wzorowe gospodarstwa, prawdziwie nauczające szkoły, uniwersytety, akademie, naukę i literaturę, fizykę i poezję — nie wyprzysięgając się ani Boga, ani przeszłości, nie zrywając z idealizmem filozoficznym, nie wypływając z siebie swojego historycznego *ja*. Minęła gorączka, skończyło się ząbkowanie rozumu i, jak zawsze po burzy, ochłodziła się atmosfera, rozjaśnił widnokrąg pierwotnego pozytywizmu naszego.

Tak jest u nas. Jak jest w Danii, to nas mało obchodzi; ogólna tylko ciekawość historyczna mogłaby nas do poznania tamtejszych stosunków pociągnąć. W życiu praktycznym swego kraju Brandes nie odegrał dotychczas roli, jaką mu wróżono; młodszy prawie o sześć lat od niego brat jego Edward, lingwista, sanskrytolog i dramaturg, uprzedził go do Folketingu, w którym już od r. 1880 zasiada jako członek nieprzejednanej Lewicy, stale od wielu lat walczącej z gabinetem Estrupa. Jerzy, choć nie jest członkiem Folketingu, uczestniczy w życiu politycznym, jako demokrat i wolnomyśliciel daleko posunięty. Jest on jednym z założycieli wielkich kursów dla robotników, na których 5.000 ludzi światła nauki otrzymuje. Wydawane wspólnie z bratem od r. 1879 czasopismo miesięczne „Wieki dziewiętnasty“ służy Brandesowi za organ dla jego filozofii, estetyki i polemik z przeciwnikami. Wywiera ono niewątpliwie wpływ na młodzież i sławie literackiej redaktora nadaje praktyczną, obiegową wartość. Obok tego organu posiada jeszcze Brandes inny: katedrę uniwersytecką w Kopenhadze. Ma ona swe dzieje, ta jego katedra literatury. Niegdyś nauczyciel Brandesa Hauch, umierając, zalecił zadziwiającego zdolnościami swemi młodzieńca na następcę po sobie; stronnicze nienawiści wszakże były tak silne, że żadne z czasopism narazie nie podało nawet tego faktu do wiadomości ogółu. Młody badacz, pisarz i szermierz pozytywizmu pod koniec roku 1869 lub na początku 1870, wykształciwszy się filozofii niemieckiej, znany już z rozpraw i z polemik, wyjechał w podróż po Europie. Ambicya pchała go do poznania, nietylko zasad, ale i samych osobistości tych myślicieli, do których własną swą umysłowością najbardziej przylegał. Zapoznał się więc osobiście z Millem (którego dwie rozprawy przetłómaczył, z Renanem i Tainem. Jak zwykle bywa w podobnych znajomościach, niewiele zyskał dla wiedzy swojej, dla jej metody, ale podniósł znacznie skalę tego przeświadczenia o sobie, na które Niemcy mają wyraz „Selbstgefühl“. Ogłosił rozprawę o estetyce Taine'a; rozprawa spotęgowała bardziej rozgłos trzydziestu lat jeszcze nieliczającego uczonego. Wywarło silny nacisk, i w Listopadzie 1871 r., dostał się Brandes na katedrę. Wyłożył z niej dzieje literatury emigracyjnej (francuzkiej). Romantyzm niemiecki (Tieck, Schlegel, Schleiermacher) i Reakcją we Francji (De Maistre, Bonald-Biały Jakobinizm), później powstały z tego trzy pierwsze tomy „Głównych prądów“. To, co tutaj powiedział przez zimę, wystarczyło do pozbawienia go katedry już na wiosnę 1872 r. Walka zawrzała na nowo. W r. 1877 Brandes przyszedł do przekonania, że

mógłby wiedzę swoją i talent zużytkować także i w Niemczech—i przez lat sześć, choć Duńczyk, w gościnie na ziemi niemieckiej przebywał. Dopiero w r. 1883 sprowadzono go znowu na katedrę. Delikatność nie pozwalała wypytywać: co mu teraz nakazało, *respectively* pozwoliło, wyjechać z kraju w porze najbardziej ożywionych wykładów uniwersyteckich?

(Dokończenie nastąpi).

ZŁOTE WESELE

OBRAZEK Z LEŚNEGO ZACISZA

OTTOKARA JEDLICZKI

przełożony z czeskiego przez

Karolinę M....

Promienie letniego słońca, które zwolna zaczyna postępować od południa wyżej ku zachodowi, paląco dotąd padają na ziemię, przygniecioną duszącym żarem. Widnokrąg jest jasny i czysty; tu i owdzie zjawia się tylko biały obłoczek i powoli płynie po niebie, dopóki nie złączy się z drugim; kilka tych wędrowców dosyć szybko zbija się w groźną chmurę, z której lona gdy noc nastanie, zrodzić się już może burza. W tej chwili jednak w przyrodzie panuje jeszcze nienaruszona niczem, martwa cisza. Las spokojnie drzemie, czasami słabo coś w nim zaszumi, korony drzew skłaniają się, jakby coś poszeptać sobie chciały; wtedy rzekłbys, że las ze snu się budzi, ale wkrótce znowu zapada w głęboki spokój. Ptactwo w cieniu liści ukryte jest zapewne pogrążone w popołudniowym śnie, bo umilkł rozlegający się z tysiąca gardziołek śpiew wiosenny, który podczas rannych godzin tak dźwięcznie brzmiał w lesie. Pstre motylki przelatują tylko wesoło z kwiatka na kwiatek; biedne kwiateczki, omdlałe i spragnione, pochylają ku ziemi wonne główki. Tu i owdzie wygrzewają się w ciepłe słonecznym jaszczurki, a po ścieżkach szybko przebiegają rozliczne chrząszczyki.

Wysoko, na modrej niebios przestrzeni, w zaledwie dojrzonej odległości, krąży zwolna, jastrząb; jakby nie poruszał rozciągniętymi skrzydłami, wznosi się cicho, spokojnie, majestatycznie, a jednak bystre jego oko pilnie szuka krwawego łupu. Ponury jego krzyk groźnie dolatuje w głąb lasu, na którego skraju gromada kuropatw z trwogą i przestachem tuli się pod krzewy, aby schronić się przed chciwym wrokiem drapieżnika. Na szczęście dla nich oko jastrzębia utkwilo już w parze dzikich gołębi, krążących nad szczytem potężnych buków; jak strzała spuścił się na dół, i schwywszy z szybkością zdumiewającą jednego z nich, odlatuje znowu wdal, aby bezpiecznie nasyć się zdobyczą.

Za to zając długouch bez troski używa wczasu w wąwozie; podczas tak nużącego gorąca śpi zupełnie spokojnie, jakby żadnych drapieżców ani myśliwych na świecie nie było. Zdałoby się, iż wie czworonożne to stworzenie, że tam, przy końcu lasu, jego wróg w domku leśniczego ma dziś co innego w myśli, niż naruszanie popołudniowej siesty biednemu zajaczkowi.

Piękny to domeczek, osamotniony wprawdzie i oddalony dosyć, tak od miasta, jak od wioski, ale zresztą z innych względów bardzo przyjemny. Obszerny dworek z budowlami należącymi do gospodarstwa ciągnie się aż ku lasowi; u brzegu lasu widać front domku, a jest on zbudowany w stylu szwajcarskim, ozdobiony potężnymi rogami jeleni. Wokoło domku szumią olbrzymie dęby; trawnik, stoły i ławeczki z białej brzoźny otaczają go; ścieżynki wysypane piaskiem rozchodzą się w różne strony i dają wszystkie prosto pod okna w ogródku, gdzie przez zielony żywopłot widzieć można mnóstwo różnobarwnych

kwiatów; w głębi altanka pokryta korą iglastych drzew, po niej pnie się gęsto dzikie wino, a obok niej skromne, a mile woniejące kwiatki.

Jeżeli domek leśniczego już zzewnątrz wywierają na nas miłe i pociągające wrażenie, tem przyjemniej powita nas jego wnętrze. W przedsieni garnie się ku nam na spotkanie, co prawda, bardzo niegrzecznie, ogromny gończy pies, którego przenikliwe szczenie widocznie napelnia trwogą dwa małe języki: — nie zważajmy mimo to jednak, pewnie kto bezzwłoki odciągnie szczekacza; możemy więc swobodnie zajrzeć do pierwszej izdebki. Miluchna to, zaprawdę, izdebka! Ściany czysto wybielone, kilka wielkich rycin przedstawiających wypadki życia myśliwskiego, w prostych, doskonale jednak rzeźbionych drewnianych ramach; następnie powój przeprowadzony w długich, bujnych gałązkach, wokoło obrazów po całym pokoju wielkie mnóstwo sarnich rożków: oto cała ozdoba tych ścian. Gustowne, ciemno obite sprzęty, ponad którymi spostrzegamy mnóstwo wypchanych ptaków, wygodnie są rozstawione i wraz z ciemno-zielonymi firankami u okien stanowią bardzo miły obrazek. Wpółrodku izdebki wokoło okrągłego stołu, na którym rozpostarto śnieżno-biały obrus, a na nim postawiono potężny bukiet w niebieskim wazonie, siedzi cała rodzina w świątecznym usposobieniu.

Naczele staruszek i staruszka, oboje już ze srebrem siwizny na głowie. Staruszek ma u piersi bukietek rozmarynu, zatknięty w dziurkę od guzika staromodnego tużurka, a staruszka—wianuszek mirtowy u prawego ramienia.

Na pokrytych zmarszczkami twarzach obojga widzieć można błogi uśmiech, odbłask wewnętrznej szczęścia i niczem niezmaconego spokoju. Koło staruszka po lewej stronie siedzi mężczyzna w całej sile wieku, barczysty w ramionach wysokiej postawy; jakkolwiek tu i owdzie włosy są już upstrzone siwizną, długi wąs i odzież myśliwska czynią powierzchowność jego mężko-piękną; naprzeciw niego do staruszki w białym czepczku czule uśmiechająca się kobieta, chociaż już niemłoda, przecież dotąd piękna, dzielna i zdrowa. Tam znowu za niemi, zamykając koło, siedzi z jednej strony może ośmnastoletnia, miłutka blondynka — róża w pierwszym rozkwicie, z drugiej młody junak, opalony wprawdzie od słońca, ale przyjemnej twarzy, z kruczemi kędziorami i błyszczącym okiem.

Mamy tu przed sobą leśniczego, jego żonę i staruszków—rodziców tej żony, którzy obchodzą dziś, pamiętny, zaprawdę, dla nich, dzień—dzień złotego wesela; oraz przesliczną córeczkę leśniczoństwa, jedyną pociechę rodziców, i nakoniec podleśnego, na którego sumiennosci, wiadomościach i gorliwości leśniczy całkowicie polega i chętnie nazywa go swą prawą ręką.

Pojmujemy tedy łatwo świąteczny nastrój, w jakim znajduje się całe towarzystwo. Są już właśnie po obiedzie, dłuższym i uroczystszy niż zwykle, do którego pani leśniczowa wydobyla wszelkie srebra i najcenniejsze naczynia. Leśniczy napoczyzna butelkę ognistego szampa, przyniesionego umyślnie z miasta przez gajowego aby do złotych weselników mieć czem uroczyście przepić na zdrowie — na długie — długie jeszcze lata! Korek grzmiąco wyleciał, wino szumi, perli się i pieni w kieliszkach; wszyscy wznoszą je na wiwat, a choć nie towarzyszą mu sute oracye, ale za to tem szersze, tem gorętsze jest uczucie. Butelka wypróżniona, towarzystwo jest żwawe i wesołe, tylko oczy uszczęśliwionego i uśmiechającego się staruszka chwilowo przymykają się zaczyna je kleić popołudniowa drzemka. — „Dziaduniu, masz ochotę zdrzemnąć się? — czule pyta ładniutka wnuczka, biegnąc ku niemu i całując go wesoło. — Chodź, zaprowadzę cię do drugiego pokoju, do twego fotelu; odpoczniesz sobie chwilkę, a potem znowu do nas powrócisz. Musisz z nami bawić się dziś nieustannie aż do nocy; nie damy ci spokoju“.

Wszyscy zgodzili się na ten wniosek, a dziadek nie dał się również długo przymuszać do popołudniowej drzemki. Mawiał często: „Niech się tylko pięć minut przedrzemnie“. Nikt mu tych pięciu minut, choćby pomnożonych przez dziesięć, nie rachował zazdrośnie; nie miał już teraz i tak nic

do roboty, a zanim zasłużył na odpoczynek, pracował się, zaiste, dosyć.

Posadzili go w wygodnym fotelu, podali pod głowę poduszkę i odeszli napowrót do pierwszej izdebki, gdzie pocichu zabawiali się dalej.

Oko dziadka błdzi omdlałe po ścianach wokoło, dopóki nie zatrzymało się na dwóch starych już olejnych obrazach. Jedno z tych malowideł przedstawia piękne młodego mężczyznę, ubranego w surdut, kroju teraz już niezwykłego i nieużywanego, z wysoko sięgającym kołnierzem, z białą, aż do szyi zapiętą, kamizelką, na szyi kilka razy wokoło ciasno owinięta biała chustka zawiązana na mały węzeł z niewidocznymi końcami, co zapewne było niegdyś modną rzeczą. Na drugim obrazie widzieć daje się dziewczę powabne, z kędziorkami wokoło czoła; ztyłu głowy obfite, grube warkocze w piętrzący pukiel upięte, biała odzież świąteczna, delikatne białe ręce wysuwają się z krótkich, suto jednak namarszczonych, rękawów, a za koronkami ukrywające się lono ozdobione jest miłutką wiązaną korwalii. Oko staruszka błdzi od jednego portretu do drugiego; na ustach igra rozkoszny uśmiech. Tak wyglądał przed pięćdziesięciu laty, jako oblubieniec, taką była wówczas jego narzeczoną. Pięćdziesiąt już lat temu! Oboje żyją dotąd, oboje zdrowi, choć do grobu pewnie już nie daleko.

Powieki staruszka opadają, ale zwyczajna drzemka nie zamyka ich jeszcze. Cały rój wspomnień przeciąga mu przed myślą gdy spojrzy na te dwa stare obrazy. Duch jego zwraca się daleko napowrót do przeszłości. Tuła się po złotym rajy dzieciństwa, a jasny blask niewinnego szczęścia odbija się na jego obliczu. Potem przez pamięć przeciągają zwolna lata młodzieńcze, ale wspomnienia te nie są również radosne; na czoł starca gromadzą się gęste chmury. Wcześniej stracił rodziców, stał samotny wśród świata, bez przyjaciół, pozostawiony własnym słabym siłom. Wspomina długie, liczne dni głodu i nędzy, trosk i kłopotów, męczące nocne studia na zimnem poddaszu przy migającym świetle olejnej lampki. I później również nie przyświecało mu szczęście. Niepowodzenie więziło każdy krok pracowitego młodzieńca; niepomyślności, jedna za drugą, ścigały go; stracił zaufanie i wiarę w samego siebie, duszę jego opanowało zniechęcenie, ujrzał się prawie na samym brzegu rozpacz. Tu jednak na widnokrąg jego życia weszła gwiazda, której wspaniały blask ukazał mu świat w nowej krasie,—gwiazda, która obudziła w nim nowe nadzieje, ożywiła w nim siły do walki z nieprzyjaznym losem. Miłość ku anielsko pięknemu a dobremu dziewczęciu stała się jego zbawieniem. Zdałoby się, że wrogi demon, który dotąd towarzyszył jego krokom, znikł przed tem miłym, niebiańskim zjawiskiem!

Starzec ocknął się na chwilę ze swego marzenia. Tam oto, przy altance, stoją dwie znajome postacie: jego ładniutka wnuczka z dzielnym panem podleśnym. Przypatrzmy się im! Skorzystałi widać z dogodnej sposobności i wykradli się do zaciszy kwiatowej. Rzecz naturalna, w pokoju nie śmieliby się ścisnąć tak za ręce, ale, bacność! Skłaniają teraz ku sobie głowy i usta ich łączą się gorącym długim pocałunkiem. Dziadek uśmiechnął się. Nie gniewa go widok szczęścia dwojga młodych ludzi! Nie oburza się na ten pocałunek. Wie on, że podleśny został właśnie posuniętym na stopień leśniczego w sąsiednim rewirze, a zięć jego ma już w kieszeni nominacyą, którą mu jednak odda dopiero wieczorem, dla radośniejszego zakończenia dzisiejszego dnia uroczystego. Starzec nie zazdrości szczęścia młodzieży. Przypomina sobie, co on czuł sam, zakosztowawszy kiedyś niewysłowionej słodczy takiego pierwszego, serdecznego pocałunku miłości, gdy się zęgnął na długi czas z ukochaną dziewczyną, aby przecież zdobyć sobie możność założenia domowego ogniska, przy którym-by ona była jego bóstwem uwielbianem. A gdy osiągnął w końcu, czego pragnął, jakże spieszył do bogdanki swojej, aby ją wprowadzić do własnego domku, jako drogą, kochaną żonę! Widzi ją jeszcze oczyma duszy, tak śliczną w tej szacie niedzielnej; widzi jej niebieskie, szczerą miłością i zadowoleniem z osią-

gniętego szczęścia błyszczące oczy; widzi bujne kędziory spływające koło rumianej twarzyczki; widzi drzące z tęsknoty łono, ozdobione wiązką konwalii. I znowu przebudził się staruszek z marzenia. Błogi uśmiech igra mu koło ust, a oko spoczywa na jej obrazie, tak słodkim, tak powabnym! Tak, zaiste, nie inną była wtedy, w owej chwili zobopólnego, niewysłowionego szczęścia. Wtem usłyszał dziadek w przyległej izdebce ciche stuknięcie kieliszkami. Przepijają tam znowu do staruszki, do żony jego, i uderzają leciutko kieliszkami, aby go nie obudzić. On czuwa i słyszy ten cichy, miły dźwięk, a nawet zdaje mu się, że słyszy także gorące, serdeczne pocałunki, które obok matki starej łączą się usta jego córki i zięcia w słodkiej chwili rozczulenia. Dziadek zasnął też wielokrotnie czystej rozkoszy takiego pocałunku męża i żony, zasnął całej błogości szczęśliwego związku małżeńskiego. Pół wieku upłynęło od czasu, gdy stanął z wybraną swą przed ołtarzem, a ileż-to chwil radosnych i smutnych upłynęło ponad ich głowami, zanim się pokryły srebrną siwizną! W obecnej chwili błogie tylko wspomnienia budzą się w duszy jego. Do oka wkraada się leciutka mgła i zmienia się w drobną kroplę, zawieszoną na białych rzęsach: łza to szczęścia! Teraz zwolna zwraca się wzrok jego od przeszłości do przyszłości; lekka chmurka zaciemnia znowu jego czoło, bezkształtny i tajemniczy cień grobu i wieczności wznosi się groźnie przed nim. Wtem otwierają się lekko drzwi, zjawia się w nich biały czepeczek koronkowy, pod czepeczkiem obfity biały włos starannie pod koronki zaczesany, a pod białym włosem słodko patrzące niebieskie oczy oblicza, pokrytego zmarszczkami wprawdzie, ale tak anielsko powabnego jeszcze. Czoło staruszka wyjaśnia się; wyciąga ramiona i dwoje zwiedłych warg spoczęło na również zwiedłych ustach, nie z namiętnym pocałunkiem kochanków, ani z gorącą pieśczęcią małżonków, ale z tym cichym, świętym pocałunkiem dwóch w jedno zespolonych, szlachetnych dusz, które poniosą wierną swą miłość ze sobą poza ponure cienie grobowe.

ODEZWA KONSULATU HISZPAŃSKIEGO

w Warszawie

O wsparciu dla ofiar trzęsienia ziemi w Hiszpanii.

Szereg strasznych, przejmujących zgrozą nieszczęść nawiedził dwie najpiękniejsze prowincje hiszpańskie: **Malagę i Granadę**, wskutek kilkakrotnych, na schyłku roku zeszłego i w początkach roku bieżącego, trzęsień ziemi. Wielka liczba miast i wiosek zamieniona została całkiem lub częściowo w ruinę, — tysiące osób straciło przy tem życie albo uległo ciężkiemu kalectwu. Wynikłe zżąd choroby i ogólna nędza wymagają nadzwyczajnych kolosalnych środków ratunku, dla zebrania których odwołanie się do pomocy uniwersalnej krajów cywilizowanych okazuje się koniecznym. W nadziei więc, że mieszkańcy tutejsi nie dadzą się wyprzedzić innym narodom na drodze miłosierdzia dla nieszczęśliwych swych, acz oddalonych, bliźnich, Konsulat Królewsko-Hiszpański w Warszawie, na zasadzie zezwolenia J. W. Głównego Naczelnika Kraju z d. 23 Stycznia v. s. roku bieżącego za N. 945, ma zaszczyt oznajmić, że z dniem dzisiejszym otwartą została w Kancellaryi tegoż

Konsulatu subskrypcya na korzyść ofiar trzęsienia ziemi w powyższych prowincjach hiszpańskich. Wszelkie, najdrobniejsze nawet, datki pieniężne przyjmowane będą z wdzięcznością, za kwitami sznurowemi, a lista szlachetnych ofiarodawców ogłoszoną zostanie w tutejszych i hiszpańskich gazetach. Fundusz zaś zebrany konsulat przesyła do utworzonego w Madrycie komitetu wsparcia rzeczonych ofiar.

Kancellarya konsulatu przy ulicy Krakowskiej Przedmieście Nr. 5, w pałacu hr. Krasińskich otwartą jest codziennie od godziny 12 do 4 po południu.

Warszawa d. 7 Lutego 1885 r.

MYŚLI.

— Rozum zwichnięty prawie zawsze i serce kazi. Błędy rozumu przechodzą w wady serca.
Brodziński.

— Najwięcej sofizmów natworzyli ludzie szlachetnych pojęć, ale słabych charakterów. Gdy pod wpływem zdań cudzych zmieniają poglądy swoje, posługują się sofizmem, aby nie utracić gruntu pod nogami i powiadają sobie, że teraz patrzą na rzeczy z innego, filozoficznego stanowiska. Jest to przecież bardzo niebezpieczny stan ducha, bo zaslepią i nie dopuszczają zgryzoty, żalu za opuszczonemi swemi ideałami.
Laboulaye.

— Ludzie, którzy w wielkich poświęceniach, czystych uczuciach, wspaniałomyślnych czynach doszukują się osobistych, samolubnych pobudek, nie są zdolni do ofiar wzniosłych i miłości bezinteresownych.
Lessing.

— Podniosłe natury używają tego przywileju, że to, przez co tłum pospolity zaczyna wątpić o dobrej sprawie, w nich podnieca ducha.
Mommsen.

— Wielkie myśli pochodzą z serca.

Vauvenargues.

— Jak powietrze, jak woda, jak wszystko na świecie, tak i serce ludzkie wznosi się tem wyżej, im jest gorętsze.
Eolvoes.

— Małe rzeczy z wielką myślą spełniać, jest wysokością ducha, ale małe do wielkości podnosić — pedantyzmem.
Feuchtersleben.

— Człowiek, który nie ma rozumu, nie ma i woli. Kogo nie prowadzi rozum, tego prowadzą ludzie lub namiętności; tylko istota myśląca wolną jest i samodzielna.
Feuerbach.

— Tylko ten, kto ideał, jaki w życie wcielić pragnie, w głębi swojej nosi i uczuciem swem żywi, jest przeciw truciznom świata i boleściom czasu zabezpieczony.
Jan Paweł Rychter.

— Praca, gdy ją ulubimy, leczy wszelkie cierpienia i łagodzi tęsknoty.
Shakespeare.

— Boleść jest dumną i czyni śmiałym tego, który ją znosić umie.

Shakespeare.

— Na cóż-by była miłość, gdyby nie miała być wierną — jednaką w radości i smutku, jednaką w chwale i poniżeniu?

Moore.

— Każda kobieta, która kocha, jest piękną, bo dusza jej staje się wtedy promienistą i świeci.

Shelley.

— Dla wielkiej miłości niema zapomnienia; może ona tylko przerodzić się w wielką nienawiść. Kiedy taka nienawiść zabija, to jeszcze kocha i staje się na grobie szczęścia swego rozpaczą.

Saar.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem. — Podaje do wiadomości, iż do kasy Towarzystwa wpłynęły następujące składki i ofiary na budowę domu dla Wystawy Towarzystwa, za czas od 13 Lipca r. z. do 1 Lutego r. b., a mianowicie: od zgromadzenia pp. *Kuśmierzy* w Warszawie rs. 34, od zgromadzenia pp. *Kapeluszników* w Warszawie rs. 11 kop. 50, od zgromadzenia pp. *Felczarów* w Warszawie rs. 20, od zgromadzenia pp. *Jubilerów i Złotników* w Warszawie rs. 3, od zgromadzenia pp. *Stolarzy* w Warszawie rs. 2 kop. 10, od zgromadzenia pp. *Gisierów* w Warszawie rs. 2 kop. 30, od zgromadzenia pp. *Introligatorów* w Warszawie rs. 19, od zgromadzenia pp. *Brazowników* w Warszawie rs. 41, od zgromadzenia pp. *Młynarzy* w Warszawie rs. 1, od zgromadzenia pp. *Tokarzy* w Warszawie rs. 7 kop. 10, od zgromadzenia pp. *Krawców* w Warszawie rs. 7 kop. 50; za pośrednictwem *Redakcji Biesiady Literackiej* rs. 3, p. Antoniego Zaborskiego w Warszawie rs. 4, p. Romana Szwojnickiego w Warszawie rs. 8, p. Karola Makowskiego w Warszawie rs. 1, p. Antoniego Puciaty w Warszawie rs. 8 kop. 40, (w tem jeden rubel metaliczny) p. Włodzimierza Powichrowskiego w Warszawie rs. 4, p. Tadeusza Chrzanowskiego w Warszawie rs. 61, p. Adama Tokarskiego w Warszawie rs. 34 kop. 25, x. Euzebiusza Pietrusińskiego w Pniewie rs. 13, p. Teodozgo Moszyńskiego w Warszawie rs. 10, p. Konrada Zienkiewicza w Warszawie rs. 10, p. Artura Bardzkiego w Warszawie rs. 36, p. Felixa Gebethnera w Warszawie rs. 234 kop. 65, od p. Wincentego Maleckiego w Kownie rs. 5, od p. Anny Hirschfeld w Warszawie dochód ze sprzedaży książeczki p. t. Szarady i Logogryfy rs. 200, zebrane na imienninach u p. B. przy ulicy Długiej w Warszawie rs. 18, dochód z przedstawienia w Teatrze Wielkim d. 25 Stycznia r. b. urządzonego przez p. Helenę Modrzejowską rs. 1 470 k. 39; razem rs. 2269 kop. 19. Summa powyższa złożona została do depozytu Banku Polskiego w Listach Kredytowych m. Warszawy do wyłącznej dyspozycji Komitetu Towarzystwa na cel wskazany.

Obok tego p. Józef Reichman w Warszawie ofiarował przy rozpoczęciu budowy domu dla Towarzystwa 50 korcy wapna bezpłatnie.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tyt.: **Silny duch.**

TREŚĆ. Ubiegła chwila, przez Maryą Ilnicką. — Generał Gordon, przez Maryą Ilnicką. — Pieśń w sitowiu, poezya przez Miriama. — Justka, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Jerzy Brandes w Warszawie, przez Stanisława Krzemińskiego. — Złote wesele nowella. — Odezwa konsulatu hiszpańskiego. — Myśli. — Od Komitetu Tow. Zach. Sztuk Pięk. w Kr. Polskiem.

Dodatek obejmuje: dokończenie powieści pod tytułem: **Silny duch**, przez W. Heimbürg. — 30 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem — Sekreta gospodarstwie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 13 Февраля 1885 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.